

ELLEN MARIE
WISEMAN
ZAGINIONE
Z WILLOWBROOK

POWIEŚĆ AUTORKI BESTSELLERA
TO, CO ZOSTAWIŁA



ELLEN MARIE
WISEMAN

ZAGINIONE
Z WILLOWBROOK

PRZEŁOŻYŁA
EWA BORÓWKA



TYTUŁ ORYGINAŁU:

The Lost Girls of Willowbrook

Redaktorka prowadząca: Ewa Pustelnik

Wydawczyni: Maria Mazurowska

Redakcja: Ewa Kosiba

Korekta: Kinga Dąbrowicz

Projekt okładki: Łukasz Werpachowski

Zdjęcia na okładce: © LALLSTOCK; © robsonphoto / Stock.Adobe.com

DTP: Maciej Grycz

THE LOST GIRLS OF WILLOWBROOK

Copyright © 2022 by Ellen Marie Wiseman

Copyright © 2023 for the Polish edition by Wydawnictwo KobiECE

Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Ewa Borówka, 2023

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2023

ISBN 978-83-8321-342-2

Grupa Wydawnictwo KobiECE | www.WydawnictwoKobiECE.pl



Niełatwo dotrzeć do podskórnej tkanki rozległego podziemnego „miasta”, jakim jest Willowbrook. Ta mroczna, piekielna zbiorowość składająca się z ośmiu tysięcy dusz, podopiecznych i pracowników (...) funkcjonowała pod powierzchnią całkowicie niewidoczna dla społeczeństwa, kompletnie odizolowana, dotknięta dramatycznymi niedoborami finansowymi i kadrowymi. Tego rodzaju peryferie to doskonały grunt dla wszelkiej maści nadużyć.

– dr William Bronson

A History and Sociology of the Willowbrook State School

To był w zasadzie obóz koncentracyjny, zbrodnia przeciwko ludzkości, w każdym zaułku, zakamarku i zakątku.

– dr William Bronson

A History and Sociology of the Willowbrook State School

Dopiero gdy weszli na oddziały i doświadczyli zgiełku, smrodu, nędzy, zobaczyli poskręcanych, wymiotujących, krzyczących ludzi, na dobre zrozumieli, że to nie niepełnosprawność spowodowała nieodwracalne szkody, tylko Willowbrook. Winowajcą jest Willowbrook.

– dr William Bronson

fragment zeznania przed Komisją Ustawodawczą Stanu Nowy Jork ds. Niepełnosprawnych Umysłowo i Fizycznie, 17 lutego 1972 roku

ROZDZIAŁ 1

*Dworzec autobusowy Staten Island
grudzień 1971 roku*

W lesie nadal trwają poszukiwania szczątków zaginionych dzieci”.

Szesnastoletnia Sage Winters podniosła drżącymi palcami żetony autobusowe i odeszła od okienka stacji. W głowie rozbrzmiewały jej dręczące słowa koleżanek, jakby odtwarzała w kółko upiorną dziecięcą rymowanąkę. Nie pierwszy raz słyszała ostrzeżenie – każdy, kto mieszkał na Staten Island, wiedział dobrze, że wchodząc do lasu, nie należy podnosić głowy – ale im dłużej przypominała sobie słowa, które powtarzały wieczorem Heather i Dawn, tym większa ogarniała ją złość. Dlaczego zamiast dodać jej otuchy, mówiły coś tak okropnego? Dlaczego zamiast pomóc jej się dowiedzieć, co przydarzyło się Rosemary, odgrzebywały odwieczne pogłoski o obrzędach satanistycznych odprawianych w podziemiach dawnego sanatorium gruźliczego? Wprawdzie były podpite, a w głębi duszy pewnie wystraszone, ale sprawa rysowała się poważnie. Jej siostra bliźniaczka zaginęła. To wcale nie oznaczało, że nie

żyje ani że znana im od dziecka miejska legenda jest prawdziwa. Cropsey był jedynie fikcyjną postacią, którą straszono dzieci, żeby były grzeczne i nie oddalały się od domu. A Rosemary przebywała w Szkole Publicznej Willowbrook – nie błąkała się po ulicach, skąd mógłby ją porwać jakiś niebezpieczny wariat. Opiekowali się nią lekarze, pielęgniarki i nauczyciele, dbali o jej prawidłowe żywienie, bezpieczeństwo, higienę i naukę podstawowych umiejętności. Tak przynajmniej stwierdził poprzedniego wieczora ojczym Sage, Alan, gdy przyznał w końcu, że Rosemary żyje.

Zadrzała na wspomnienie tej chwili, gdy dowiedziała się prawdy o swojej bliźniaczce, po czym wsunęła żetony autobusowe do kieszeni kurtki i zaczęła grzebać w torebce w poszukiwaniu paczki papierosów Kools. Tak strasznie chciało jej się palić, że niemal czuła w ustach smak tytoniu. I potrzebowała też pepsi, ale cholerny automat okazał się nieczynny. Jakby tego wszystkiego było mało, miała straszliwego kaca. Łomotało jej w głowie, język miała suchy jak papier ścierny, a myśli zbijały się w gęste tumany. To zrąbane samopoczucie tylko nasilało jej niepokój, ale sama była sobie winna. Chyba już jej kompletnie odbiło, skoro uznała, że spożycie sześciu szklaneczek amaretto sour i dziesięciu kielonków miętowego sznapsa najskuteczniej złagodzi szok wywołany odkryciem, że Rosemary została oddana do zakładu dla umysłowo chorych.

Wciąż jeszcze przetrząsając torebkę w poszukiwaniu papierosów, weszła do obskurnej poczekalni, minęła pospiesznie rzędy plastikowych niebieskich krzesłek i skierowała się do wyjścia. Zważywszy na pogodę, chyba lepiej byłoby zapalić w budynku dworcowym, ale cuchnęło tu męskim klozetem. Zresztą nie chciała przegapić autobusu do Willowbrook. Im szybciej wsiądzie, tym mniejsze ryzyko, że zdąży się rozmyślić.

Coś przeszkadzało jej w poszukiwaniach, coś zaczepiało się o pierścionek. Zatrzymała się. Czyżby po wczorajszym wyjściu z baru zapomniała schować do portmonetki podrobiony dowód? Wyjęła rękę z torebki, spojrzała na nią i zaklęła pod nosem. Pod oczkiem pierścionka utkwiał róg folii po kondomie i ta wisiała teraz na dłoni jak proporczyk. Sage ją wyrwała, podeszła do kosza i wyrzuciła. Nadal mamrocząc pod nosem przekleństwa i nie zważając, czy ktoś ją widzi, wygrzebała z torebki resztę sześciopaku i ją też wywaliła. Jedno wiedziała na pewno: następnym razem znajdzie sobie chłopaka z jajami, który sam będzie sobie kupował cholerne kondomy. Na myśl o Noahu poczuła pieczenie pod powiekami. Gdyby nie to, że przyłapała go wtedy na obmacywankach z tą puszczałką Yvette, jechałby teraz z nią do Willowbrook. A tak leży jeszcze prawdopodobnie w łóżku, napawa się ostatnimi dniami przerwy świątecznej i fantazjuje o tym, że niedługo się spotkają. No cóż, czeka go niespodzianka. Sage wsunęła mu pod drzwi liścik z prośbą, by więcej do niej nie dzwonił. Zniesie wiele, ale nie niewiernego chłopaka. Nieważne, że Yvette i on „tylko” się całowali – zdrada to zdrada. A ona już dawno temu przysięgła sobie, że nawet kosztem rozpaczy nie zmarnuje ani minuty życia z osobą pokroju swojej matki, która pod koniec małżeństwa stale zdradzała ojca.

Na myśl o matce poczuła znajomą urazę i zacisnęła bezwiednie zęby. Kiedyś zdawało jej się, że rodzice są w sobie zakochani bez pamięci i nic innego się dla nich nie liczy. W szkole średniej ojciec był gwiazdorem drużyny koszykówki, a matka przewodziła grupie cheerleaderek. Pobrali się zaraz po ukończeniu nauki. Ich uczucie miało trwać wiecznie. Tak też sądziły Sage i Rosemary, dopóki rodzice pierwszy raz się nie pokłócili. Dopóki matka pierwszy raz nie cisnęła w męża

kieliszkciem z martini. Dopóki pierwszy raz nie kazała mu się wynosić. Pierwszy i ostatni.

Rosemary nie pojmowała, dlaczego rodzice ciągle się kłócą, ale ich konflikt ją odmienił, i to nie na lepsze. Dla odmiany Sage wiedziała, że mają problemy, ale czuła się wobec nich bezradna, starała się więc przymykać oko na ich sprzeczki. Gdy dotarło do niej, że matka co dzień pije, początkowo podejrzewała ojca o romans i znenawidziła go za to. Potem jednak poznała prawdę.

To zdradzający wrzeszczą, to oni próbują przerzucać winę na drugą osobę. Jakby tata odpowiadał za to, że matka wymawia się nadgodzinami i w tym czasie uprawia seks z własnym szefem. Czego by ojciec nie zrobił, choćby nie wiadomo jak się starał, matce to nigdy nie wystarczało. Za mało ją kochał. Za mało włożył jej w dupę. Cały był „za mało”. Tyle że to on co rano podawał jej kawę do łóżka, a co wieczór gotował. To on zapisał Sage i Rosemary do przedszkola i pilnował, by miały czyste ubrania. To on dbał o wystrój domu i co roku kupował możliwie największą choinkę, bo matka uwielbiała Boże Narodzenie. Nikt nigdy nie troszczył się o nią tak jak mąż. I ani razu nie dał jej powodu do podejrzliwości.

Sage również nie miała powodu do powątpiewania w wierność Noaha. Kręciło się obok niego mnóstwo spragnionych uwagi dziewczyn, on jednak nawet na nie nie spojrział. Heather i Dawn stale pytały ją, czy mu ufa, lecz ona była pewna jego uczuć – albo tak jej się przynajmniej zdawało. Na prywatkach, na których whiskey i piwo lały się strumieniami, a skręty krążyły z rąk do rąk, inni chłopcy co rusz bawili się z nowymi dziewczynami, ale Noah był zawsze przy niej i naśmiewał się z wybryków kolegów. Nigdy nie przypuszczała, że ją zdradzi. Byli ze sobą przez rok i w tym czasie nie natknęła się ani na

liścik w jego szkolnej szafce, ani na ślad szminki na kołnierzu, nie dotarła też do niej nawet pogłoska, że choćby zawiesił oko na kimś innym. Do czasu.

Znów przeklęła go pod nosem i zamrugła, żeby powstrzymać łzy; nie będzie płakała przez chłopaka. Miała poważniejsze zmartwienia na głowie. Powlekła się w stronę wyjścia, starając się odpędzić obraz Noaha. Nie warto mu poświęcać ani chwili uwagi. Tak przynajmniej podpowiadał jej rozsądek. Nad Heather i Dawn też nie ma co się rozwodzić. Początkowo miała wyrzuty sumienia, że wyszła po angielsku z baru i nawet za siebie nie zapłaciła, ale teraz się cieszyła z tego kroku. Jej trwający już siódmy rok żal z powodu utraty siostry – okropna, dotkliwa, odczuwalna do dziś rozpacz – to nie temat do żartów. Dziewczyny wiedziały, że śmierć Rosemary była momentem granicznym w jej życiu. Jej świat podzielił się na to, co przedtem, i to, co potem. To nie była bujda ani prośba o uwagę.

Dawn i Heather stale nabijały się z tego, że Sage nie cierpi tabliczek ouija i tak bardzo boi się igieł, że zemdlą, gdy próbowały przekłuć jej uszy za pomocą igły krawieckiej i kostki lodu, nic więc dziwnego, że na wieść o zaginięciu Rosemary przywołały pogłoski o Cropseyu i popełnionych przez niego straszliwych zbrodniach. To by im jeszcze wybaczyła, ale potem ciągnęły tę historię, choć błagała je, by przestały.

Przed dwuskrzydłowymi drzwiami dworca zwolniła. Na zawieszanej obok nich tablicy widniały oferty pracy, wizytówki i chyba ze sto niewielkich ogłoszeń o zaginionych dzieciach: całe rzędy niewinnych uśmiechniętych twarzątek niczym z wyblakłego *tableau*. Nie cierpiała podobnych ogłoszeń, wających po oczach napisów „ZAGINAŁ” czy „ZAGINĘŁA”, ziarnistych fotografii ze szczęśliwych czasów sprzed porwania, gdy wszyscy tkwili jeszcze w błogiej nieświadomości, że pewnego

dnia dziecko zostanie wykradzione rodzicom. Ogłoszenia widywało się na całej Staten Island: w sklepach spożywczych, na poczcie, w kinach i kręgielniach, na skrzynkach pocztowych i słupach telegraficznych. Sage poczuła, jak w piersi ścisną ją coś zimnego i twardego. Czy na tych cholernych afiszach znajdzie się też twarz jej siostry bliźniaczki? I gdzie są te wszystkie nieszczęsne, Bogu ducha winne dzieci? Jakie okropieństwa musiały znosić? Czy zginęły, czy nadal cierpią? Czy zapłakane i przerażone zadają sobie pytanie, dlaczego rodzice, ludzie, którzy mieli je zawsze kochać i chronić, jeszcze ich nie ocalili? Sage nie umiała sobie wyobrazić gorszej niedoli.

Temu, że akurat na Staten Island zniknęło tyle dzieci, nikt się szczególnie nie dziwił. W końcu wyspę postrzegano jako nowojorskie składowisko; ktoś taki jak Cropsey mógłby tu bez trudu ukrywać ciała. „Składowanie” – jak mówiono – rozpoczęło się w dziewiętnastym wieku, gdy władze miejskie przrzuciły na wyspę ludzi cierpiących na choroby zakaźne: tysiące nieszczęśników zarażonych żółtą febrą, tyfusem, cholera i ospą. W późniejszym okresie gruźlików odsyłało do Seaview Hospital, ubogich, niewidomych, głuchych, kalekich i zniedołężniałych do Farm Colony, a niedorozwiniętych umyślowo do Willowbrook. Ciała porzucano w lasach i na moczarach. Służby miejskie przewoziły tony śmieci na Fresh Kills, gdzie kiedyś ciągnęły się słone mokradła pełne żab i wszelkiej roślinności, a teraz roilo się od szczurów i beapańskich psów. Może to tam policja powinna szukać zaginionych dzieci.

W tym momencie na dworzec weszła kobieta w kraciastym płaszczu, wnosząc za sobą powiew zimnego powietrza, który poniosł się przez poczekalnię i zaszeleścił ogłoszeniami o zaginionych, jakby poruszyła je niewidzialna dłoń. Kobieta wpadła

jak burza, zderzyła się ramieniem z Sage i bez słowa przeprosin popędziła dalej.

Sage się ocknęła, odwróciła od tablicy, pchnęła dworcowe drzwi mocniej, niż było to potrzebne, i wyszła na bezbarwne zimowe światło. Zapaliła papierosa i zaciągnęła się łapczywie. Heather i Dawn miały rację co do Noaha. A co, jeśli nie mylą się też w sprawie Cropseya? A co, jeśli to on porwał Rosemary? Jeszcze raz mocno się zaciągnęła i ruszyła przed siebie chodnikiem, ganiąc się w myślach za głupotę. To bzdura, że jakiś uciekinier z zakładu dla umysłowo chorych, z hakiem zamiast jednej dłoni i ostrym jak brzytwa toporem w drugiej, poluje na dzieci i wciąga je do tuneli w podziemiach zrujnowanego szpitala gruźliczego, a następnie składa w ofierze szatanowi. Po prostu łatwiej było uwierzyć w straszdyło, niż przyjąć do wiadomości, że na świecie żyje tylu złych ludzi.

Skoro jednak Alan nie kłamał, że przez sześć ostatnich lat Rosemary znajdowała się pod troskliwą opieką personelu Willowbrook, to jak to się stało, że zaginęła? W jaki sposób umknęła pielęgniarce i lekarzom, którzy mieli jej pilnować? Czy tylko po to Sage odkryła, że Rosemary żyje, by ponownie ją utracić? Dość już pożegnała ukochanych osób.

Pogrzebała w kieszeni w poszukiwaniu żetonu, zacisnęła go mocno w dłoni i podeszła do stanowiska ósmego, skąd lada chwila miał odjechać autobus do Willowbrook. Gdyby tylko zdołała wytłumić łomot w głowie i uspokoić podrażniony żołądek, może myślałaby trochę trzeźwiej. Teraz trzeba przede wszystkim obmyślić najlepszy sposób na odnalezienie Rosemary. Nie wściekać się na koleżanki i chłopaka – no, byłego chłopaka – nie użalać się nad sobą, nie przejmować nieistniejącym wielokrotnym zabójcą. Musi zachować przytomność umysłu i skupić się na tym, co należy zrobić po przyjeździe do

Willowbrook. Oby grupa poszukiwawcza pozwoliła jej cokolwiek działać. Może i nie widziała Rosemary od sześciu lat, ale i tak zna ją lepiej niż ktokolwiek inny na świecie. Siostra potrafiła się przerazić byle drobiazgiem czy niedopowiedzeniem, niewidocznym i niezrozumiałym dla nikogo innego, było więc całkiem możliwe, że coś ją w Willowbrook wystraszyło i postanowiła się ukryć. Może gdy zobaczy, że Sage jej szuka, lub usłyszy z jej ust swoje imię, wyjdzie z kryjówki. O ile się faktycznie kryje. Jedno Sage wiedziała na pewno: będzie ją nawoływać po imieniu tak długo, aż ochryplnie, aż wypowiadający te sylaby głos zacznie jej się łamać z rozpacz, aż przeszuka każdy zakamarek i zajrzy pod każdy kamień.

Niemal przy narożniku dworca, na zaśmieconym chodniku, zobaczyła siedzącego pod kocem bezdomnego w wystrzępionej kurtce wojskowej i z wystającymi spod znoszonej czapeczki Yankees długimi, przetłuszczonymi włosami. Na kawałku stojącego obok kartonu widniał napis „NIEPEŁNOSPRAWNY WETERAN Z WIETNAMU PROSI O WSPARCIE”. Mężczyzna spojrzał na Sage smutnymi brązowymi oczami, które na tle brodatej twarzy przypominały wilgotne szklane kulki, i podsunął jej pustą puszkę po zupie.

– Rzucisz drobne rannemu weteranowi? – spytał.

W głowie rozbrzmiał jej głos Alana ostrzegającego ją, by nie dawała pieniędzy bezdomnym, bo wydadzą je na narkotyki i trunki, a już zwłaszcza ci „dzieciobójcy”, którzy walczyli w Wietnamie. Sage uznała jednak, że bezdomni też muszą jeść i wrzucanie wszystkich weteranów do jednego worka jest nie fair, więc postanowiła uwierzyć, że obdarowani jej drobniakami wydadzą je na cheeseburgera albo ciastko jabłkowe w McDonalddie. Wetknęła papierosa do ust, pogrzebała w kieszeni kurtki w poszukiwaniu reszty, którą otrzymała po

zakupie żetonów, i wrzuciła monety do puszk. Wiele nie miała, ale zawsze coś.

– Bóg zapłać – powiedział weteran i odsłonił w uśmiechu krzywe zęby.

Skinęła głową i poszła dalej, kuląc się z zimna. Na domiar złego zaczął padać śnieg, a ona miała na sobie kusą kurtkę zamszową i sztruksową miniówkę, a na gołych nogach chodaki. Nie najlepszy strój na ten dzień, ale jakoś nie pomyślała o pogodzie. Zresztą powiedziała Alanowi, że idzie ze znajomymi do centrum handlowego. Gdyby poświęcił jej więcej uwagi, zorientowałby się oczywiście, że ani nie wzięła prysznic, ani się nie umalowała. Każdy wie, że za żadne skarby nie pokaże się publicznie z przetłuszczonymi włosami i bez wytuszowanych rzęs. To znaczy każdy, kogo ona obchodzi. Pewnie powinna być wdzięczna, że niczego nie zauważył – gdyby podejrzewał, dokąd się wybiera, mógłby ją próbować zatrzymać. Albo i nie. Trudno powiedzieć. Jeśli coś nie dotyczyło myślistwa, whiskey albo oglądania kanałów sportowych, to niewiele go obchodziło, a ona sama najmniej. Mogła równie dobrze nie wracać na noc pod warunkiem, że nie przyprowadzi jej policja. Ojczym angażował się dopiero wtedy, gdy jej życie bezpośrednio narażało go na kłopoty – jak w październiku poprzedniego roku, kiedy dyrektor szkoły przyłapał ją na paleniu w damskiej toalecie i Alan musiał wyjść ze swojej pracy na składowisku Fresh Kills i ją odebrać. Wtedy wrzeszczał i groził, że zamknie ją w pokoju na tydzień, miesiąc czy ile tam trzeba będzie, żeby dostała nauczkę. Oczywiście tylko tak mówił. Spełnienie groźby kosztowałyby go za dużo fatygi.

Czasem sama już nie wiedziała, kto jest bardziej nieszczęśliwy: ona czy Alan. Nigdy nie rozumiała, co matka w nim widziała. Po tym, jak rzucił ją szef, umawiała się z innymi

mężczyznami i wielu z nich miało porządną pracę oraz dobry charakter, ale może jedynie Alan był gotów ożenić się z kobietą z dwójką dzieci. Tyle że los spletał mu figła. Alan zawarł z matką transakcję związaną, lecz po towarze głównym nie został ślad, a on został z dodatkami, których w ogóle nie chciał. Sage już dawno temu, jeszcze przed tym, jak matka zginęła w pijackim wypadku drogowym, przekonała się, że nigdy nie zadowolili Alana. O ucieczce myślała już tyle razy, że straciła racjonalność. Zresztą dokąd miałyby pójść? W pobliżu nie mieszkali żadni bliscy krewni. Nikt z jej znajomych nie miał wolnego pokoju. Heather dzieliła jeden z trzech pokoiów mieszkania z czterema siostrami, a rodzice Dawn nie byli lepsi od Alana: przepijali pieniądze, a Dawn i jej młodszy brat musieli sobie radzić sami. Zresztą kto by chciał kolejną gębę do wykarmienia. Dziadkowie ze strony matki zmarli lata temu i matka zerwała wtedy kontakt ze swoją jedyną siostrą. Sage nie miała pojęcia, czy ciotka w ogóle jeszcze żyje, a co dopiero gdzie. Gdy była z Noahem, mogła do niego wpadać, tyle że jego matka uważała go za aniołeczka, który przeprowadza starsze panie przez ulicę i oszczędza się dla przyszłej żony. Prędzej by jej kaktus wyrósł na dłoni, niż przystałaby na to, by spał pod jednym dachem ze swoją dziewczyną. To znaczy eksdziewczyną.

A najgorsze było to, że nie miała pojęcia, co się dzieje z ojcem. Nie dzwonił w święta, nie przysyłał kartek urodzinowych. To było do niego niepodobne. Matka twierdziła uparcie, że zaczął nowe życie i nie chce mieć nic wspólnego z dawną rodziną, ale Sage jakoś powątpiewała w jej szczerą. Może chodziło o szyderczy ton, a może o to, że winą za rozstanie obarczyła jego. A może o to, że traktowała swoje córki jak zwałidrogę, a on widział w nich ósmy cud świata. Gdyby Sage miała zgadywać, dlaczego ojciec się nie odzywa, dałaby sobie

głowę uciąć, że nie dostał od matki nowego adresu i numeru telefonu, gdy wprowadziły się do Alana. Mimo wszystko mógłby je przecież odnaleźć, gdyby naprawdę mu na tym zależało.

Zawsze chciała zapytać matkę, czy wie, gdzie on mieszka, albo czy można do niego zadzwonić, ale nigdy nie zdobyła się na odwagę. Bo jeśli matka nie mijała się z prawdą, to rzeczywiste odrzucenie byłoby nie do zniesienia. Już pierwsze odebrała jak amputację, a kolejne przypominałyby śmierć.

Często wyobrażała go sobie z inną rodziną i zastanawiała się, czy ma jeszcze dwie inne córki, a może syna. Czasem myślała, że może wpadnie gdzieś na dziewczynę, która wygląda dokładnie jak ona i Rosemary, i okaże się, że są już trojaczkami. Była ciekawa, czy mieszkają w lepszej dzielnicy, czy ojciec wyrwał się z ubogiej części miasta, ze skupisk rozpadających się bloków i ciasnych domków, gdzie niemal każdy, kogo znała, miał wśród krewnych osobę zatrudnioną na wysypisku Fresh Kills.

Na myśl o swojej rozbitej rodzinie poczuła w gardle palącą kulę i z trudem przełknęła ślinę. Nikt nie wiedział, gdzie ona teraz jest i co zamierza. Pomyślała, że jest jak piórko, które w każdej chwili może zostać porwane przez wiatr, i nikt nie będzie za nią tęsknił.

Poza Rosemary, bo ona by tęskniła. Gdyby jej nie oddano.

Rosemary. Jej siostra bliźniaczka. Ona żyje. Sage nadal nie mogła w to uwierzyć. Co poczuje, gdy znów się zobaczą? Czy będzie niezręcznie? Cudownie? Czy padną sobie w objęcia i wybuchną płaczem? Czy Rosemary będzie ją pamiętała? Czeka ją wspaniałe spotkanie po latach czy kolejna bolesna żaloba? Po grzbiecie przebiegł jej dreszcz strachu połączonego z ekscytacją.

Poprzedni wieczór, kiedy to dowiedziała się, że jej siostra bliźniaczka żyje, nadal jawił jej się jako sen albo scena z filmu.

A gdyby nie znalazła się w odpowiednim miejscu o odpowiedniej porze, nigdy nie dowiedziałyby się prawdy.


Było już po dwudziestej drugiej, gdy postanowiła się wyknąć i spotkać ze znajomymi. Kluczając między strzelbami myśliwskimi i plastikowymi koszami pełnymi pomiętych ubrań, przeszła przez przedpokój położonego na czwartym piętrze mieszkania. Nie znosiła go od dnia przeprowadzki. Może dlatego, że przypominało jej życie po odejściu ojca: chaotyczne, niepewne, pogmatwane. W małej, ciasnej kuchni stały bladożółta kuchenka i taka sama lodówka – sprzęty, które pamiętały lepsze czasy. Wnętrza szaf czuć było uryną i myszami, a cienkie ściany przepuszczały wszelkie odgłosy. Szum suszarki do włosów, kobiecy śmiech, okrzyki kibica oglądającego baseball, przytłumiona rozmowa telefoniczna – wszystko to przenikało przez tynk wraz z zapachem cudzego obiadu. Każdy powód był dobry, żeby stąd uciec. A może po prostu nie znosiła Alana.


Starając się nie potknąć o rozrzucone rzeczy, minęła na palcach wiszące na boazerii zdjęcia w plastikowych ramkach: jej i Rosemary ubranych w identyczne marszczone sukienki, Alana otaczającego ramieniem ich matkę w czasach, gdy przypominała jeszcze Elizabeth Taylor – czarne półdługie włosy miała starannie ułożone, a srebrzystoszare oczy lśniące i radosne. Alan – na oko zwyczajny facet o całkiem pospolitych rysach – też się uśmiechał, wyraźnie zadowolony i zakochany w żonie. W jego oczach czaił się jednak chłód i spokój. Kryły się w nich tajemnice. Sage wiedziała, że zdjęcia, jak i sami ludzie, mogą zwodzić: w uchwyconej na kliszy chwili wszyscy się cieszą i sprawiają wrażenie idealnych, a już minutę później mogą się sprzeczać i wychodzić teatralnie z pokoju. Albo wrzeszczeć i zadawać ciosy.



*Sięgnij po
więcej!*



 www.wydawnictwokobiece.pl

 [kobiece](#)

 [wydawnictwo.kobiece](#)